GŁOS
BRATA ALBERTA

ŻYCIE ME DOCZESNE UBOGIM ZAWDZIĘCZAM, DO NICH WIĘC ONO CAŁKOWICIE I ZE SPRAWIEDLIWOŚCI NALEŻY.

— BRAT ALBERT

Rok VI | MARZEC - KWIECIEŃ - 1937 | Nr 2

PISMO PRZYJACIÓŁ DZIEŁA BRATA ALBERTA

KRAKÓW, ul. KOŚCIUSZKI 86.

TREŚĆ ZESZYTU:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

Redaktor: Władysław Figiel — Wydawca: Brat Wincenty, albertyn

Prenumerata rocznie 1.80 zł. — **Cena zeszytu 30 gr.**

Najczystszej wody impresjonista.



Akwarela Br. Alberta

Na dwadzieścia trzy lat przed śmiercią Brata Alberta, ktoś tak ocenił go jako malarza:

Chmielowski Adam, malarz polski, kształcił się w Monachium około r. 1870, mając lat około trzydzieści, rozwinął się też daleko głębiej estetycznie i teoretycznie. Wysokie napięcie uczuciowe i zdolności umysłowe sprawiły, że Chmielowski w pracach swych okazywał skłonność największą do przedmiotów allegorycznych, dramatycznych, poetycznych i religijnych, lubo nie kościelnych. Stąd też płynęło poczucie kolorytu wielce wytworne i trafne, przewyższające o wiele technikę rysowniczą, ktorej nie mógł rozwinąć w sobie, późno dziedzinę sztuki malarskiej objąwszy, stąd też Chmielowski został pierwszym u nas i najczystszej wody impresjonistą, t. j. zasadzającym wrażalność obrazu na koloryźmie. Jednym z najwyborniejszych obrazów tego kierunku był Chmielowskiego „Ogród miłości", w którym formy postaci mgliste i niedość wyraźnie określone, lubo poprawnością tchnące, tonęły w barwach niezwykle poetycznych, o miedzę graniczących z niedającą się ująć w formy plastyczne muzyką. Nie należy utrzymywać wszakże, żeby Chmielowski rysować nie umiał, świadczą o tem obrazki figurowe: „Kwaterunek", „Polowanie", „Widzenie św. Małgorzaty", „Kameduła" (ostatni), z dawniejszych zaś „Pogrzeb samobójcy".

W r. 1888 Chmielowski porzucił sztukę i poświęcił się z całym zapałem pięknej duszy sprawom miłosierdzia; przebywa stale w Krakowie. Pracował w Warszawie pomiędzy latami 1874 i 1880, następnie w Krakowie.

Według Wielkiej Encyklopedii Powsz.
Warszawa 1893 t. XII
podał Włafig

List Brata Alberta z Monachium do Lucjana Siemieńskiego.

Szanowny Panie!

Prawie już miesiąc jak z Monachium nie pisałem do Szanownego Pana — na ochocie mi nie zbywało — ale mi wstyd było posłać goły list bez szkicu.

Próbowałem po parę razy — ale jak przyszło zrobić coś, coby zręcznie wyglądało i odpowiednio do albumu — to ani weź. Niema niezręczniejszego człowieka pod słońcem — do tych rzeczy jak ja — i nic dziwnego — rysuję w akademii prawie zawsze nadnaturalnej wielkości głowy i figury — w szyku i szkicach sobie nie podobam wcale — więc tego nigdy nie robię — może zresztą z czasem i tego się nauczę że jednak przecie list napisać chciałem, więc posyłam Szanownemu Panu szkic z natury do obrazka, który robiłem dla Pana Dzieci. Jestto jedyny prawie szkic jaki posiadam i prawie pierwsze moje tutaj malowanie — Brandta wszystkie szkice takie — wybrałem jaki był najlepszy — tylko obrazki kończy — zapewne nie robi inaczej — więc trudno mi by było coś skończeńszego wynaleść — z Polaków którzy tutaj są prawie żadnego bliżej nie znam — wszyscy są w Akademii i niedawno zaczęli studya.

Przyłączam rysunki Retla — tak bardzo mi się spodobały żem je sobie kupił jeszcze dawniej — nieduży wydatek bo 15 grajcarów — ślicznie rysowane a jako expressya to mi się wydają doskonałe. Rzecz osądzi Szanowny Pan najlepiej—mnie się bardzo podoba — zresztą ja się na tem mało znam a kwestye społeczne bardzo z gruba traktuję — Wolność wydaje mi się niemożebną na świecie a równości bym nie chciał za żadne pieniądze chybaby wszyscy równo głupi się stali — co niezabawną byłoby rzeczą — więc do Rewolucyi socyalnych nie mam nabożeństwa — a już Francuska wydaje mi się jako ohydny krwawy skandal — rządy gburów — zresztą mordowali kobiety, dzieci i porządnych ludzi — więc za taką cenę kupiona niby wolność obrzydzenie mi robi — Mogę sobie być zacofanym wiele kto chce — to jednak nie czuję się niczem obowiązany myśleć i mówić inaczej.

Ten biedny gienialny Retl zwaryował — ale zostawił śliczne rzeczy niektóre w zupełnie innym rodzaju — mnie się zdaje

że jeżeli nie komponowane to pewno lepiej rysowane jak Kaulbach.

W Monachium nic nowego — któremu tylko z malarzy większe rogi wyrosną—zaraz się wynosi stąd gdzieś w świat— zresztą massę obrazów ciągle malują a co dziwniej to to, że sprzedają drogo — nieraz się dziwiemy gdzie się to wszystko podziewa — i że tym ludziom nigdy niedosyć tego towaru — W ostatnich czasach a raczej w ostatnim roku Gierymski z naszych malarzy bardzo w górę poszedł — wszystkie obrazy które miał za granicą pokupowali do jednego i poobstalowywali — za ostatnie drogo płacąc — między tutejszemi malarzami ma też duże uznania — W Warszawie tylko się nie podoba — bo żaden z mniejszych obrazków które dawniej posłał niekupiony— wogóle z tą Warszawą jakoś bardzo dziwnie idzie — od samej granicy począwszy i cenzury — obraz tam posłany uważa się za stracony — prawie nigdy nie kupiony — albo najmizerniej — jest też tam jakiś malarz który najgłupsze rzeczy wypisuje pod pozorem krytyki — już to jak się malarz do krytyki obrazów weźmie to się tego można spodziewać.

Ze mną stara historya — rysuję do czwartej w Akademii a potem siedzę w domu i czytam — zresztą straciłem bardzo na wesołości i swobodzie — boję się o siebie ze względu na moje wyszukane gusta — Kto chce robić greckie rzeczy — które muszą koniecznie choćby trochę być stylizowane musi przejść przez malowanie i rysunek realistyczny ażeby umiejąc nie robił w ten sposób — inaczej to niema żadnego znaczenia — prostota przez umiejętność nieciekawa — Łatwo więc można z głodu umrzeć komu koniecznie się chce pasztetu a ma albo mieć będzie na bułkę.

Od Pani zawsze równie dla mnie łaskawej odebrałem w tych dniach list — dobre Jej serce niepokoi się o mnie — jakżebym rad uspokoić tę troskę — Już widać powiedziano jest żebym samej tylko przyjaźni i życzliwości od całego domu Szanownego Pana doznawał. Zasełam pannie Maryi i Pannie Lucynie ukłony i życzenia zdrowia dobrego. Niech Szanowny Pan raczy przyjąć zapewnienie o mojej najszczerszej przyjaźni szacunku pełnej

Adam Chmielowski

Śladami miłosierdzia Brata Alberta.

„Zostawiono na świecie krzyż — ale czerwony,
„Gdzie naprawia się ludzi — aby psuć ich dalej. . . .“
(K. H. Rostworowski — wyj. z dedykacji.)

Chcemy iść śladami Br. Alberta...

Ale pójść jego śladami — nie znaczy zapatrzeć się w niego, jako w „człowieka zabłąkanego z przeszłości, z średniowiecza“. Nie znaczy cofnąć się w przeszłość, ale przeciwnie: zrozumieć współczesność i przejrzeć przyszłość. Bo Br. Albert miał w sobie tylko pozory szarego, średniowiecznego mnicha, miał tylko zewnętrzną formę średniowiecznej ascezy, a w rzeczywistości był on emanacją epoki sobie współczesnej i przenikał przyszłość.

Jego idee, czy to będzie idea ascezy, czy miłosierdzia, czy jakakolwiek inna, mają w sobie jakąś niezniszczalną żywotność, coś z nieśmiertelności. A ta ciągła żywotność wynika z duchowej struktury Brata Alberta.

Bo też źródłem jego wszelkich poczynań było idealne, czyste piękno: on „przez piękno szedł do nieśmiertelności“, a tak pojęte piękno jest zawsze żywe i zawsze twórcze. Stąd też nie kto inny stał się ostatecznym jego duchowym przewodnikiem, tylko św. Franciszek z Asyżu, dla którego nie spekulatywny rozum, ale uczucie, piękno przyrody i poezja były piastunkami duszy.

Tak też i idea miłosierdzia, jedna z przewodnich u Br. Alberta, a o której chcemy teraz mówić, nie może być bierna, nie może być oderwana od współczesności i od istniejących warunków, lecz przeciwnie musi być czynna w najszerszym tego słowa znaczeniu i musi się dostosować do dni dzisiejszych. Może jeszcze nigdy przedtem nie pukano tak do ofiarności publicznej, która jest jednym przecież z objawów miłosierdzia, jak dzisiaj. A przecież to dzisiejsze miłosierdzie mimo woli nasuwa na myśl przytoczone satyryczne słowa K. H. Rostworowskiego. Bo czyż ten „czerwony krzyż“ nie jest doskonałym wyrazem dzisiejszych naszych poczynań? Czyż nie po to w imię tego krzyża przynosimy ludziom ulgę w cierpieniach, aby tych samych ludzi użyć niejednokrotnie jako narzędzie niezaspokojonych naszych dążeń i żądz?—Ta przenośnia o czerwonym krzyżu to tylko jeden

z momentów uprzytamniających nam, jak daleko odbiegamy od właściwego miłosierdzia, jak zacieramy wyznaczone nam przez Br. Alberta ślady i jak się ciągle oddalamy od prawdziwego „drewnianego krzyża“.

Jednym słowem zarówno samo pojęcie miłosierdzia jak i jego „czynienie“ mimo wszelkie pozory odbiega daleko od swej istoty. Przy wielkiej dzisiejszej ofiarności, której wymaga nieznane dawniej bezrobocie a z nim razem szerząca się ludzka nędza, ofiary te czynimy tylko ze względów egoistycznych a zaspokajamy potrzeby wyłącznie materialne. Nie jest miłosierny ten, kto dla ratowania swego mienia i swego bytu czyni ofiarę. To jest tylko dobrze zrozumiany własny interes. Bo przecież nie innym hasłem szermuje się dzisiaj, wzywając do ofiarności, jak tylko tym, że przez ofiarność odsuniemy podszepty tego zła, które podpala świat cywilizowany na dwóch jego krańcach. W tej dzisiejszej ofiarności przebija krótkowzroczność — zaspokojenie samych potrzeb materialnych nie wystarczy: są jeszcze potrzeby duchowe. Człowiek otrzymujący byt codzienny bez własnej pracy przestaje być człowiekiem, bo człowiek prawdziwy do pracy stworzony. A pamiętajmy o jednym, że złego uczy nie tylko głód, ale przede wszystkim próżnowanie. Dajmy miłosiernie pracę po zaspokojeniu pierwszej materialnej potrzeby, a gdy tego zajdzie konieczność pracą tą i jej dorobkiem ofiarnie się podzielmy.

Chrystus Pan powiedział nie tylko „łaknących nakarmić, spragnionych napoić“ ale i „strapionych pocieszyć“. I tu się otwiera szerokie pole pracy dla naszego miłosierdzia. Koniecznie trzeba nakarmić nie tylko ciało, ale i ducha. Nie jest miłosierny ten, kto zbywającym ochłapem z dostatniego stołu chce zaspokoić materialną nędzę, nie jest miłosierny i ten, kto liczmanem pustych słów chce zaspokoić głód duszy. Miłosierdzie okazane duszy, to nie słowa, bo one tylko formę konieczną stanowią, ale to oddawanie najlepszych cząstek własnej duszy, aby drugą, zbolałą i zgłodniałą przez miłość i światło płynące z wiary podnieść wzwyż.

Takie wskazania dawał nam Brat Albert, który zaspakajał potrzeby, uczył pracy i podnosił na duchu, wskazując sobą samym świetlaną drogę do nieśmiertelności. Jakże daleko od jego wskazań odbiegliśmy...

Nauczyliśmy się też patrzeć na ludzką biedę, jako przyodzianą w łachman żebraczy. Nierzadko zdaje się nam, że biedy tej nie gdzie indziej należy szukać, jak wśród nędzy materialnej a równocześnie intelektualnej. Niestety zły to punkt i kąt widzenia. Biedota czekająca na nasze miłosierdzie nie zawsze legitymuje się łachmanem na plecach i wyciągniętą, żebraczą ręką. Często, jeśli nie przeważnie, prawdziwą biedę i potrzebę należy wyszukiwać, nie kierując się żadnymi pozorami. Często pod powierzchownością człowieka zasobnego kryje się prawdziwy niedostatek, a pod maską panowania nad sobą zbolała i potrzebująca wzmocnienia dusza. I bodaj czy takich dziś nie coraz więcej i czy nasze codzienne miłosierdzie oraz płynąca z nie ofiary powinny objąć tej nowej wzrastającej na liczebnej sile biedoty.

Te nieliczne uwagi, które na pewne nie wyczerpują tematu, wzięte ze wskazań Br. Alberta i z otaczającego nas życia niech naprostują ścieżki, którymi winniśmy dążyć za śladami Ojca miłosierdzia, niech nam pomogą w miłosiernym zbrataniu, ale „w drewnianym, nie czerwonym krzyżu“.

Tadeusz Rawicz — Rojek.

Na marginesie chwil obecnych.

Nieraz, obserwując ludzi różnego wieku, przynależnych do różnych epok — nie o historycznych różnicach lat, lecz choćby trzy pokolenia — np. babkę, matkę i dzieci, widzimy tę zadziwiającą różnicę i pojęć i zasięgu potrzeb serca. Zdawałoby się, że to nieprawdopodobne, by ludzie żyjący zwykle w obrębie jednego mieszkania, a więc stykający się bezustanku, tak mało działali na siebie psychicznie. Wychowanie domowe — szkoła— kładą pewne piętno na sposobie myślenia dzieci, lecz właściwym powodem tej różnicy nastawienia myślowego jest uderzające z zewnątrz tempo życia i nastrój chwili.

Zdawałoby się, że nastrój ten wywoływać powinni właśnie ludzie, którzy swoimi czynami wywołują różne nasilenia przeżyć społecznych — a jednak zwykle od nastrojów urabiają się ludzkie charaktery.

Każda epoka stwarza odmienne charaktery — i styl ludzi,. tak samo jak wywiera wpływ na sztukę.

Umysł człowieka i jego system uczuciowy to gąbka chciwie chłonąca każdą wibrację warunków.

Wszelkie zmiany ustroju społecznego odbijają się na mózgu człowieka jak na kliszy i są niejako tym sitem, przez który następnie przesiewa się każdy problem, i pryzmatem, przez który spoglądają na świat. A oczy te głodne są zawsze nowych wrażeń.

Podczas wojny, gdy człowiek żyje w podniecającej nerwy atmosferze lęku o życie osób sobie najdroższych i o swoje własne — gdy ciągłe zetknięcie się ze śmiercią musi wyrodzić lekceważenie dla wszystkiego, co jest poza samym życiem. Bo czemże jest wszystko co posiada ziemia wobec życia? Powstaje tak zwana psychoza wojenna, która zwykle fałszywą obiera drogę.

Racjonalnie pojęta taka psychoza powinna iść w kierunku pogłębienia życia wewnętrznego i chęci podniesienia się intelektualnego, gdyż właśnie bliskość śmierci — otwiera jakby wrota w świat zagadnień ducha. Człowiek powinien starać się zbliżyć ku nieśmiertelnej tajemnicy odwiecznych obietnic, które przecież są celem istnienia naszego na ziemi.

Skrzywdzony poniewierką trudów i sieroctwem człowiek powinien czuć się bliższym Boga — a jednak doświadczenie ostatniej wojny nauczyło nas, że epoka wojenna dała nam ludzi wykolejonych moralnie, których życie wewnętrzne obniżyło się do minimum. U istot powierzchownych instynkt samozachowawczy i lęk śmierci wyładowywał się w bezkrytycznej żądzy życia, co, siłą faktu, rozluźniło obyczaje a w następstwie zaważyło na stosunkach socjalnych.

Dyscyplina życia jest rygorem ciężkim a jednak koniecznym — ludzie poddawać jej się muszą, bo każde wykolejenie grozi rozbiciem.

Prawa moralne są zawsze jedne — poczucie honoru jest też niejako instynktem — wskazania nauki ewangelicznej są i będą zawsze najwyższym ideałem.

Życie tylko przybiera coraz to inną formę i zmienia się podejście do doskonałości.

Uświęcenie siebie — to dobra chęć dążenia do doskonałości też w różnych warunkach musi być coraz inna — bardziej życiowo zastosowana.

To, co za czasów św. Szymona Słupnika było szczytem ofiary, w czasach obecnych nie byłoby wskazanem.

Tortury strasznej walki o byt — tragizm zachłanności i rywalizacji — zawiść — jakaś jakby pierwotna walka ludzi, uzbrojonych nie w maczugi nabijane krzemieniami, ale w cały arsenał wynalazków śmiercionośnych — i tej najstraszniejszej broni — rozumu, użytego do zbrodniczych celów — wszystko to stwarza teren zupełnie innych zagadnień i wyrzeczeń, niż w czasach średniowiecza.

Dawniej kto wiódł życie surowe — odmawiał sobie wiele a niósł pomoc bliźnim — mógł być świętym i chodził w glorii uwielbienia.

Dziś surowe życie wieść musi każdy — a to co życie mu codziennie przynosi — te troski i beznadzieje bardziej go chłoszczą, niż rzemień biczownicy.

Dziś zaparcie się siebie jest codziennym chlebem a miłosierdzie jest niejako pod groźbą przełomów socjalnych. A jednak uświęcenie siebie ma warunki bardziej sprzyjające niż w zamierzchłych czasach. Chodzi więc tylko o to, aby utrudnione warunki bytu, które obecnie każdy znosić musi — nie były dla nas ciężarem, lecz abyśmy rozumowo pojęli, że nawet tak żyjąc, można znaleźć wiele zadawolenia i szczęścia. Ludzie wszyscy, mają zasadnicze potrzeby życia jednakie. Chcąc rozwijać się, muszą mieć zapewnione utrzymanie — lecz skromnie żyjąc a z przekonaniem zadowolenia można znaleźć radość życia.

Bogactwo stwarza warunki uprzyjemnionego życia — lecz także po przesycie sprowadza nudę — która dziwnie wyjaławia intelekt.

Kiedy zastanowimy się nad możliwymi warunkami życia a życiem ludzi uprzywilejowanych — to musimy przyznać, że to drugie jest jakoby pokryte barokowym ornamentem rozrywek i przyjemności tak błachych, że nie wartych zabiegów poważnego człowieka.

Dążeniem ustroju socjalnego powinien być dostatek obywateli— ale przed zbytkiem powinno się przestrzegać, gdyż on wprowadza atmosferę, w której zatraca się poczucie zła, dobra i sprawiedliwości.

Są ludzie, którzy krzywdują sobie, że nie posiadają tyle — aby mogli drogo żyć.

O jakże to jest fałszywa troska!

Życie skromne jest o wiele higieniczniejsze, a człowiek odżywiany skromnie dłużej żyje — i konserwuje się lepiej. W roztkliwianiu się nad sobą niewieścieje organizm a duch traci tężyznę.

Ubranie drogie też niezawsze jest piękne, gdyż dobry gust nie zależy od kosztowności materiału.

I tak we wszystkiem.

Człowiek rzucony tylko na pastwę swoich zachcianek manieruje się — i staje się coraz więcej egoistą — a czasem i cynikiem.

A cynizm to wstrętne piętno duszy.

Żyjemy w czasach ciężkich — prawda — lecz nie powinniśmy stracić pogody serca.

Piękno, które jest w naszych duszach zaszczepione własną ręką Boga, jak kwiat na oknie pleniący się ku słońcu — musi ozłacać nam dolę.

Piękno podobieństwa do najdoskonalszej Istoty, którą jest Kreator nieba i ziemi — i człowieka, którego celem jest podążać zawsze w górę, w świat wolności zdobytej zgadzaniem się z wolą Stwórcy.

Michalina Janoszanka.

Brat Albert w pamięci kolegi — powstańca

W cichym ustroniu Chrzanowa, w domu otoczonym ogrodem, mieszka jedyny żyjący jeszcze z powstańców 1863 roku na terenie pow. chrzanowskiego porucznik Ludwik Nowakowski były dzierżawca dóbr Mirów i Poręby-Żegoty. Liczy obecnie 93 lata. W mroźne popołudnie wybrałem się w odwiedziny do „naszego powstańca". ażeby dowiedzieć się bliżej o jego znajomości z Bratem Albertem i szczegółach ich rozmów. Po przywitaniu się zaczęliśmy rozmowę, w której można było zauważyć wielką jeszcze bystrość umysłu staruszka.

Spośród szeregu kolegów powstańców, najbardziej utkwiły mu w pamięci dwie postacie a to: Józef Kalinowski (ur. w roku 1837), późniejszy O. Rafał karmelita bosy, przełożony klasztoru



Ks. W. Krzeptowski i p. por. wet. Nowakowski

w Czernej oraz przełożony ss. karmelitanek w Polsce. Zmarł on w Wadowicach w r. 1907. A druga: Adam Chmielowski, późniejszy Brat Albert. Zaintrygowany tymi nazwiskami, zadaję pytanie: „A gdzie pan porucznik spotykał się z wymienionymi towarzyszami broni? — Pytanie to wprawiło staruszka w zadumę. Po chwili dopiero rozpoczął wyjaśnienie: „Z moimi kolegami powstańcami, t. j. z Bratem Albertem i z O. Rafałem, spotykaliśmy się zazwyczaj, bądź to w klasztorze w Czernej, bądź też w Chrzanowie u serdecznego mego przyjaciela śp. Ignacego Bieńkowskiego, inspektora podatkowego. Oczywiście tematem naszych rozmów były nasze przeżycia w powstaniu, kiedy to nieśliśmy życie w ofierze ukochanej Ojczyźnie, a wynosiliśmy podziurawione skóry, zaś Brat Albert wskutek odniesionych ran stracił nogę. Nie brakło też przy tym i pogodnych rozmów. N. p. O. Rafał był małomówny, podczas gdy Brat Albert lubił żartować. Pewnego razu odezwał się do O. Rafała: „Ty masz dwie nogi a mało mówisz, a ja mam jedną i nie trapię się, i dlatego więcej od ciebie mówię.”.

Drugim miejscem naszych spotkań były Kalatówki koło Zakopanego, gdzie wraz z Władysławem hr. Zamojskim chodziliśmy w odwiedziny do pustelni Brata Alberta. Spotkania te zawsze były miłe.

Wobec starań zdążających do beatyfikacji Brata Alberta, ryzykuję pytanie: — „A mógłby pan porucznik mi objaśnić, czy jako najbliższy z żyjących kolegów powstańców, doznał od Bra-

ta Alberta jakich łask nadzwyczajnych, które by mogły zaważyć na szali sprawy beatyfikacyjnej?

Wzruszony staruszek opowiada następujący fakt: W ostatnim czasie w listopadzie ub. roku nawiedziła dom mój choroba. Zachorowała wnuczka moja a w miesiąc później zięć na tyfus, a nawet zagrożona była tą ciężką chorobą córka. Bezradny i zrozpaczony zostałem bez opieki a na barki moje spadł ciężki obowiązek opiekowania się i pocieszania chorych. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że właśnie ja mam zostać przy życiu, a o wiele młodsi ode mnie mieliby umrzeć. To ciężkie położenie skłoniło mnie do zwrócenia się z gorącymi modłami do Boga i prośbami do Brata Alberta, o wstawiennictwo koleżeńskie; boć przecież trudno mi było przypuszczać — mówi na wpół żartem — żeby koledzy moi z powstania: Brat Albert, i O. Kalinowski, będący w niebie, — jak głęboko jestem przekonany — i obserwujący moje ciężkie położenie, mogli, mnie w bezradności i rozpaczy opuścić. I stało się to, o co prosiłem. Wysłuchał mnie Bóg dobry i miłosierny. Choroba szczęśliwie ku mojej pociesze minęła. A może i drugą moją prośbę wysłucha, że pozwoli mej duszy po śmierci zameldować się w niebie już u św. Alberta bohatera, którego cały naród powinien czcić !!!



P. por. Nowakowski

Pożegnałem serdecznie dziadunia, który na odchodnym podarował mi swą fotografię powstańczą sprzed 74 laty, gdy jako młody 18—letni młodzieniec szedł do powstania.

Opuściłem dom w podniosłym nastroju.

Ks. Wojciech Krzeptowski

LEON WYCZÓŁKOWSKI.

Dnia 29. grudnia 1936 r. w Warszawie usypiał snem wiecznym jeden z największych mistrzów malarstwa polskiego. Leon Wyczółkowski, jako ośmdziesięciopięcioletni starzec. Gasnąc prawie nagle po długiej i pracowitej wędrówce życia „jak ptak strzelony w locie“, zaciskał w sztywniejącej dłoni nieodstępny relikwiarzyk i modlił się gorąco. Otaczający umierającego starca słyszeli, jak w ostatniej prawie chwili wzywał pomocy Brata Alberta, dobrego towarzysza broni, kolegi z monachijskiej uczelni i serdecznego przyjaciela, którego nazywał „świętym“, Zaprzyjaźnili się z sobą jeszcze w Monachium. Razem pracowali, razem się bawili, razem mieszkali, a bywało, że i razem, na jednym łóżku sypiali. Życie warszawskie w gronie Stanisława Witkiewicza, Maksymiliana Gierymskiego i Józefa Chełmońskiego zacisnęło więzy przyjaźni jeszcze więcej.



Autoportret.
Leon Wyczółkowski

„Wywierał na nas wpływ ogromny — wspominał niedługo przed śmiercią L. Wyczółkowski. — Był najpierwszym wśród nas kulturą, wiedzą, charakterem, a kto wie, czy i nie talentem. Jego zdanie, jego sąd w sprawach sztuki, był bodaj miarodajniejszym dla nas, niż opinia profesorów.”

Poglądy na sztukę mieli zresztą obaj podobne. Wymagali od niej tego samego, czego wymaga się od życia. „Proszę mi powiedzieć — mówił L. Wyczółkowski w jednym z wywiadów— czy każdą pracę człowieka może zastąpić coś, co jest bez ducha? Czy fotografja wschodu słońca i obraz tego wschodu — czy to jest to samo? Czy można pomyśleć, że kiedyś wynajdzie się sposób, żeby maszyna za człowieka czuła, myślała, sądziła — malowała obrazy, pisała wiersze, ułożyła symfonię. Mogę powiedzieć, że do tego nigdy nie dojdzie, ale może, dojść do czego innego, oto, że człowiek, aby pozbyć się kłopotu, zrezygnuje z tych wartości. Mój Boże! dobrze trawić można i bez sztuki, dobrze spać, robić pieniądze. Nie będzie tych,

którzyby powiedzieli, że nad małem targowiskiem życia płynie wielki ocean wieczności, do którego nikt wkupić się nie może najcięższym nawet dukatem..."

„Nie samym chlebem żyje człowiek — dodałby tutaj może Brat Albert, gdyby słuchał tych wywodów przyjaciela, który ciągnął dalej swoje wywody i kończył zdaniem: „Wszędzie pracę twórczą zastępuje produkt mechaniczny"... A gdyby znowu tutaj dopowiadał Brat Albert, już nie jako malarz i artysta, ale jako opiekun nędzarzy, wtedy do wywodów przyjaciela wykazującego jako „mechaniczne produkty", brzydko zabudowane ulice, szablonowe sprzęty, pospolite olejodruki i t. p. rzeczy, dodałby ze swojej dziedziny: „pomoc zimową" różne „zasiłki" i „dożywianie," a równocześnie przypomniałby Leonowi nocną wycieczkę we frakach z balu pod Baranami na Kazimierz, gdzie pokazywał przyjaciołom „miejską ogrzewalnię" i dodałby w końcu: „To także mechaniczne produkty tak zwanego miłosierdzia". I tutaj zrozumieliby się dobrze, wierny i dozgonny służebnik sztuki, Leon Wyczółkowski, oraz jej „odstępca", podejmujący „rzeczy wyższe", Brat Albert.

Ostatnim obrazem Brata Alberta była wedle opowiadań Leona Wyczółkowskiego, jakaś „boecklinowska boginka leśna" namalowana odruchowo niemal w przededniu przywdziania habitu w jego pracowni. „Nazajutrz przyszedł Adam znowu do mojej pracowni — opowiadał później Wyczółkowski — popatrzył na swoje dzieło, kilkoma pociągnięciami pędzla zamalował boginkę i zniszczył obraz..." Wiadomo, że Brat Albert zniszczył swoich obrazów wiele i bywało dużo takich, którzy dawnego artystę za to potępiali. Serdeczny przyjaciel i sam artysta, wyczuwający jego talent, Leon Wyczółkowski nie potępiał go nigdy. Rozumiał bowiem dobrze człowieka, który przekształcił wewnętrzne przyobrażenia i przechodził wyższy stopień „duchowej twórczości". Do śmierci przechowywał jako drogą relikwię, szkic obrazu przyjaciela, przedstawiający „roraty" „Obraz ten jest dziełem mego kolegi, świetnego malarza i świętego człowieka — Adama Chmielowskiego — Brata Alberta. Jest to dla mnie prawdziwa relikwia" — mówił niedługo przed śmiercią. Chlubił się raczej dawnym kolegą jako świętym człowiekiem aniżeli jako „świetnym malarzem". Za odstępstwo od sztuki nie gniewał się na Adama nigdy. Wiedział bowiem, że Adam jako Brat Albert, wkładał w swoje nowe dzieło, daleko więcej całego siebie, aniżeli można włożyć w sztukę

W szablonie ludzkich roztkliwień, w postaci różnych jałmużn wkładał duszę i serce. I dlatego może także sam Wyczółkowski pod koniec życia, mawiał że radby zniszczyć wszystkie swoje obrazy, aby zacząć pracować inaczej. Zamyślał zapewnie natchnąć swoje malarskie dzieła duchem takim, aby przemawiały podobnie, jak przemawiają dzieła miłosierdzia „świętego kolegi i przyjaciela."

Br. W.

W „CYRKU" [1])

Szczere i serdeczne opowiadanie tego biedaka tak usposobiło p. Wiktora, że i on coś-niecoś opowiedział o swym nieszczęśliwym położeniu, i między tymi dwoma towarzyszami niedoli zawiązała się jakaś życzliwa sympatia. To też gdy p. Wiktor użalił się na największe obecne swe zmartwienie, na brak dachu nad głową, to jegomość ten odpowiedział:

— Mój panie! Kolejno przeszedłem wszystkie etapy, dopóki nie stoczyłem się na dno nędzy ostatniej. Wówczas, kiedy znalazłem w się takim samym jak pan dzisiaj położeniu, zmuszony byłem szukać w przytułku schronienia. I znalazłem je w osławionym „Cyrku", o którym pan zapewne słyszał.

— Owszem słyszałem, że tam podobno najostatniejsze męty przytułek znajdują.

— Nie, panie, ktoś pana bardzo źle poinformował, tam bowiem dużo najnieszczęśliwszych wykolejeńców szuka przytułku, zapomnianych i zaniedbanych przez tych, którzy umieli się na powierzchni utrzymać.

— A więc to nieprawda, że tam tylko kryminaliści i rozmaite wielkomiejskie męty się gromadzą? — zapytał z zaciekawieniem p. Karyński.

— Schronisko to jest pod opieką braci albertynów, których dewizą jest dać przytułek bezdomnemu człowiekowi, nie dochodząc tego, co go w tą nędzę wtłoczyło. Dlatego też trafiają się tam ludzie rozmaitej konduity i wszelakiego autoramentu. Jednakowoż każdy z tych nieszczęśliwych otoczony jest tam serdeczną opieką ze strony tych pełnych poświęcenia ludzi.

— Więc mówi pan, że tam trafiają się i ludzie uczciwi i inteligentni?

— Tak panie, bracia albertyni każdego nieszczęśliwca przygarniają do siebie, a inteligentni mają nawet oddzielną salę. Więc radziłbym i panu zrzucić pychę z serca i skorzystać z tego dobrodziejstwa — dodał wykolejony agronom.

— Chyba, że trzeba ten kielich goryczy, który mi przygotowała nieszczęśliwa dola ma, wychylić do dna — odrzekł p. Wiktor.

Potem wyszli już razem z Łazienek i powlekli się w biedniejszą dzielnicę by tam za parę groszy zaspokoić dokuczliwy głód. A gdy już zaczęło się ściemniać podążyli ku sławnemu schronisku, znajdującemu się przy ulicy Dzikiej pod Nr. 4. A gdy stanęli przed dużym drewnianym, parterowym budynkiem, od ulicy okolonym sztachetkami, za którymi rosły krzewy akacji, agronom odezwał się:

No już jesteśmy u celu. Przedstawię pana bratu Józefowi, który jest tu przełożonym, i każdemu jak tylko może pomóc świadczy, pragnąc ulżyć jego nieszczęśliwej doli. Po czym zadzwoniwszy głośno rozbrzmiewającym dzwonkiem, zostali wpuszczeni do dużego, ciemnego korytarrza, do którego dolatywał szum i rozgardiasz z obszernych sal, znajdujących się wewnątrz budynku.

Z korytarza weszli na lewo do obszernej kancelarii, w której za stołem siedział dość młody jeszcze sekretarz, koło niego zaś, z boku na krześle w ciemnoszarym habicie, średnich lat, miłej powierzchowności o łagodnych lecz przenikliwych oczach albertyn, bratem Józefem zwany. Do niego to podszedł agronom i przywitawszy się z nim powiedział:

„Ojcze Józefie! Przyprowadziłem wam tu jeszcze jednego lokatora, który zmuszony jest korzystać z waszej dobroci. — Tu wskazał ręką na stojącego obok p Karyńskiego, który ujrzawszy miłe oblicze człowieka w habicie, skłonił się, spuścił oczy, jakby się wstydząc o coś prosić.

Brat Józef, jak widać, doskonale orientujący się w takich razach, ośmielił go paru serdecznemi słowami:

— Bardzo prosimy!

Potem sekretarz zapisał do książki personalia pana Karyńskiego. A gdy

---

[1]) Fragment z powieści współczesnej R. Wolskiego p. t. „Jeden z wielu" Warszawa 1936, skład główny: Księgarnia J. Przeworskiego.

następnie zaproponował mu złożenie w kancelarii swych dowodów i wszelkiej gotówki, jaką posiadał, p. Wiktor ponsowy ze wstydu, wysupłał całe osiem złotych, i oddał je na przechowanie.

Brat Józef widząc jego zakłopotanie, odezwał się serdecznie:

— Niech pan się rozgości u nas. O tu proszę pana bony na dzisiejszą kolację i jutrzejszą herbatę z chlebem. Jeżeli ktoś może, to płaci nam za nocleg 5 gr., za kolację 15 gr. a rano za śniadanie 8 gr. Jeżeli zaś kto nie posiada gotówki, to otrzymuje to bezpłatnie — powiedział brat Józef, spoglądając życzliwie na przybysza.

Na co Karyński wręczając sekretarzowi należne pieniądze, odezwał się:

— Bardzo dziękuję, lecz czy nie będę tu zawadą i ciężarem?

— Znajdziemy tu i dla pana miejsce, Właściwie nasz przytułek jest przygotowany na 250 osób, a nocuje przeciętnie u nas do 500. W zimie zaś nieraz frekwencja dochodzi do 700.

W trakcie tej rozmowy zauważył p. Karyński, jak nowi noclegowcy zgłaszając się do kancelarii, podawali do książki meldunkowej swe personalia. Pomiędzy nimi najwięcej było podupadłych rzemieślników i robociarzy. Po tych następowali drobni kupcy, handlowcy, oraz nieduży procent podupadłej lub wykolejonej inteligencji. Z tych niektórzy rekrutowali się z wolnych zawodów, lecz przeważali ilościowo zredukowani urzędnicy i oficerowie dawnych armii, a nawet i policji.

P. Karyński spostrzegłszy to, wykrzyknął głośno:

— Mój Boże! Wszak to nietylko mnie spotyka taka ciężka dola — potem zaś zwróciwszy się do brata Józefa zapytał: Bracie kochany! Czemu należy przypisać, że tylu nieszczęśliwych szuka tu przytułku?

— Najliczniejsza rzesza naszych gości to ludzie psychicznie nienormalni, którzy nie mogli opanować steru życiowego i wykoleili się pogłębiając się w coraz większe męty. Z nich niektórzy zatracili już wstyd i wszelką etykę, schodząc na najniższy szczebel, i nie przebierając w środkach zdobycia pieniędzy na gorzałkę, a nieraz i na narkotyki, którymi chcą zagłuszyć swe cierpienia. Są to poprostu chorzy, niebardzo bezpieczni dla otoczenia i traktować trzeba ich jak dzieci Bywa też u nas dużo zredukowanych urzędników, lub pracowników umysłowych, dawniej zatrudnionych w fabrykach i biurach przemysłowych, obecnie zamkniętych. Jest też sporo reemigrantów, którzy bez żadnych materialnych środków powrócili z zagranicy. A nie brak i takich, którzy chwilowo znajdują się w kłopotach materialnych. Ci ostatni są tylko przejściowymi pensjonariuszami naszego schroniska, z którego korzystają po parę dni, a najwyżej po kilka tygodni. Potem zaś wkolejają się znów w normalne życie. Najważniejszą zaś przyczynę tego wszystkiego, przypisałbym psychozie warunków powojennych, które wielu wyprowadziły z równowagi — dokończył brat Józef.

Potem, przeprowadziwszy p. Wiktora przez kilka ogromnych noclegowych sal, przepełnionych nocującymi, którzy zgiełkliwie i głośno rozmawiali z sobą skierował się do jednej z mniejszych sal, w ktorej nocowali przeważnie ludzie inteligentni. Tu zwróciwszy się do znanego nam już agronoma odezwał się:

— Niech że pan się zajmie panem Karyńskim, zapozna go z obecnymi, tu, zaprowadzi do sali jadalnej na kolację, a potem wskaże mu miejsce do spania. Tymczasem żegnam panów i proszę rozgościć się w tej naszej ciasnocie — potem, podawszy im rękę odszedł.

W sali, w której przeznaczono nocleg p. Wiktorowi, znajdowało się kilkudziesięciu jegomości w rozmaitym wieku. Wszyscy oni byli skromnie, lecz czysto ubrani. Twarze ich o inteligentnym wyglądzie, wskazywały lepsze pochodzenie. Każdy był czemś zajęty: jedni układali swe rzeczy w maleńkich walizeczkach, drudzy na pryczach robili papierosy, niektórzy zaś siedząc przy ustawionym na środku sali stole, czytali pisma i gazety. Na wchodzącego nocnego przybysza zbytnio nie zwracali uwagi, jakby apatycznie przyjmując nowicjusza do swego grona.

K A L W A R J A

Słodko jest z Panem wstępować na szczyty
I orlim lotem szybować w błękity...
Serce i duszę kąpać w blasku słońca
I pić tę rozkosz bez miary—bez końca!...

Słodko na sercu Oblubieńca swego
Oprzeć swą głowę i mówić do Niego,
Że Jego kocha,—że on król jej duszy,
Że tej miłości nigdy nic nie wzruszy.

Słodko jest spędzać u stóp Mistrza życie,
Czarem słów Jego poić się obficie,
Ciche od niego odbierać pieszczoty
I pędzić życie jako promyk złoty.

Agronom podprowadziwszy p. Wiktora do znajdujących się pod ścianą prycz, objaśnił mu:

— O tu widzi pan na tych pryczach śpimy po dwóch w takiej klatce. Ja śpię na dolnych pryczach, nademną są zaś dwa rzędy, na których sypiają zwykle młodsi. Jest tu coprawda twardo i nie bardzo wygodnie, gdyż niema żadnej pościeli, lecz zato czysto, bo żadne insekta nie mają tu oparcia. Przy tym codzień rano zmuszeni jesteśmy opuszczać przytułek, gdyż tu codzień jest wszystko myte strumieniami wody z kranów.

Potem przedstawił p. Karyńskiego najbliższym swym sąsiadom. Byli to przeważnie starsi wiekiem urzędnicy zredukowani. Prowadząc zaś p. Wiktora na kolację do sali jadalnej, odezwał się jeszcze:

— Panie Karyński, gdyby pan chciał, to mógłby pan spać ze mną na jednej pryczy?

— Ależ owszem, będzie mi bardzo miło i będę panu za to bardzo zobowiązany.

W sali jadalnej, znajdującej się w drugim budynku obok kuchni, przy kilkunastu stołach, okrążonych ławkami, siedziało kilkudziesięc noclegowców, z apetytem pałaszując smakowity kapuśniak z chlebem sitkowym. A zapach tego jadła, jak widać smacznie i zdrowo przygotowanego, pobudzał apetyt tych bezdomnych ludzi, którzy już dawno przy swym własnym ognisku tego dobra nie zażywali.

A kiedy obydwaj zajęli miejsce w końcu jednego stołu i gdy podano im dwie czyste miseczki tego kapuśniaku, w którym pływały kawałki miękko ugotowanych skórek słoniny, i dwie potężne kromki pachnącego chleba sitkowego, agronom odezwał się:

— Niech no pan spróbuje tego jadła i powie mi szczerze, jak panu to smakuje?

Pan Wiktor, zjadłszy tej zupy parę łyżek, odpowiedział:

— Mnie wydaje się to tak smaczne, jak bym nigdy nic lepszego nie jadł — i zaczął z wielkim apetytem spożywać swą porcję.

Na to mu agronom odpowiedział:

— My tu wszyscy jesteśmy głodni i odzwyczajeni od smacznych, domowych, choć prostych potraw.

Po kolacji nastąpiło w salach noclegowych odczytywanie przez braci albertynów wieczornych modlitw. Po czym wszyscy udali się na spoczynek.

Pan Wiktor pod głową ułożył swą marynarkę i tak pierwszą noc przepędził w sławetnym „Cyrku".

Roman Wolski

Ale gdy duszę zalegnie noc czarna
Smutkiem, zwątpieniem i bólem ciężarna;
Gdy Pan od biednej sługi się oddali.
W pełnej goryczy pogrąży ją fali...

A ona wierna, pokorna i cicha,
Krople po kropli wysączy z kielicha
I śladem Mistrza na Golgockim szczycie,
Na krzyżu Jemu poświęci swe życie.

Spełni ofiarę... miłość jej bez granic!„.
Wszystkie cierpienia uważa już za nic.
Ach! ileż szczęścia w jej duszy się mieści!
Nie On — lecz ona — oblubieńca pieści!...

S. Imelda G. — dominikanka

Ku czci Brata Alberta:

Ks. Rektor Prof. K. Michalski mówi o Bracie Albercie na uniwersytecie krakowskim.

Kat. Stow. Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie" w Krakowie urządza w bieżącym roku szereg odczytów z cyklu: Wielcy katolicy współcześni. Po Chestertonie, o którym mówił prof. Dybowski przyszła kolej na Brata Alberta. Na prelegenta zaproszono Ks. rektora K. Michalskiego, który kilkakrotnie miał sposobność spotkać się z Bratem Albertem, a który obecnie bardzo żywo zajął się przygotowaniem jego monografii. Razem z Księdzem Postulatorem Królem zgromadzili wiele nieznanego materjału, który prawdopodobnie wykorzysta w swej pracy.

Odczyt wygłosił ks. rektor Michalski w dniu 29 stycznia b. r. w jednej z sal Colegium Novum. Wzięła w nim udział duża ilość słuchaczy, przeważnie z młodzieży akademickiej. Byli obecni: p.prof. Piotrowicz, p. red. Mazurkiewicz kilku braci albertynów z br. starszym Wincentym. Półtoragodzinny odczyt wywarł na słuchaczach wielkie wrażenie.

Redakcja „Głosu" uzyskała od ks. rektora Michalskiego pozwolenie na zrobienie stenogramu i dzięki temu, odczyt zostanie wydrukowany w Kalendarzu Brata Alberta na r. 1938.

Uroczyste posiedzenie ku uczczeniu 20-tej rocznicy śmierci Brata Alberta w Częstochowie.

Przeszła rocznica dała sposobność do szerszego zainteresowania osobą Brata Alberta społeczeństwa częstochowskiego. Stało się to za inicjatywą i staraniem p. prof. Wł. Kośmińskiego.

W pięknej sali teatru Kameralnego odbyło się uroczyste posiedzenie w dniu 16 stycznia b. r. Na uroczystość przybyli: p. wiceprezydent miasta Henzel, przedstawiciele wojska, ks. kanclerz Jottowt, ks. Mondry redaktor „Niedzieli", ks. dr. Kasprzak, ks. radca Godziszewski, bracia szkolni, ss. służebniczki, profesorowie gimn. urzędnicy starostwa, oraz bracia albertyni.

W programie wieczoru wzięli łaskawie współudział: prelegenci: p. Borawski b. kustosz Wawelu, p. prof. Kośmiński, pp. Chorzelski i Hosse odegrali kilka utworów na skrzypce i pianino oraz orkiestra 27 pp. pod batutą por. Grzywińskiego, kilka bardzo pięknych utworów.

Na scenie widniał blisko metrowej wysokości portret Brata Alberta.

Życiorys Brata Alberta ukaże się w dwóch wiekich wydawnictwach.

Dzięki łaskawym informacjom ks. rektora Michalskiego dowiadujemy się, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamierza wydać zbiór monografii wielkich polaków i polek, świętych polskich i zmarłych w opinii świętości. Życiorys Brata Alberta dla tego wydawnictwa opracował ks. rektor Michalski.

W Krakowie wychodzi wielkie wydawnictwo: Polski słownik Biograficzny.Ostatnio ukazał się zeszyt 11, który zawiera szereg artykułów wybitnych naukowców, o zasłużonych polakach, lub takich, którymi z jakiegoś powodu historia się zajmuje. Otóż w następnych zeszytach, które ukazują się co dwa miesiące przyjdzie kolej na literę „c" i znajdą się tam pod nazwiskiem „Chmielowski" Adam dwa artykuły. Ks. rektor Michalski pisał będzie o tak różnorodnych fazach życia Brata Alberta a p. dyr. Kopera zajmie się tylko Adamem Chmielowskim malarzem.

Wprawdzie ze względu na charakter wydawnictwa objętość artykułów musi być bardzo ograniczona, ale sam rozgłos naukowy znakomitych autorów nakazuje się spodziewać, że ważna ta pozycja w literaturze o Bracie Albercie nie przejdzie bez echa.

Ze Świątnik Górnych.

W niedzielę. 24 stycznia b. r. odbyło się w przepełnionej sali zebranie, urządzone staraniem miejscowego komitetu Akcji Katolickiej, poświęcone uczczeniu pamięci **20-ej rocznicy śmierci brata Alberta**. Obszerny referat o życiu i czynach Wielkiego Ojca ubogich, przy użyciu lampy projekcyjnej i ślicznych, a nieznanych obrazków filmowych wygłosił ks. prob. E. Brzostek. Z odczytu tego dowiedzieliśmy się jak wielkim patriotą Polakiem i duchem opiekuńczym nędzarzy był Brat Albert i jak go naśladować powinniśmy. Teraz zwłaszcza w okresie karnawału, w obliczu ostrej zimy, jak i nędzy ludzkiej z powodu bezrobocia, składajmy chętnie i ofiarnie datki do parafialnych komitetów Ąkcjj Kat., które zawsze i wszędzie spieszą z pomocą ubogim i bezrobotnym robotnikom. Spełnieniem naszego katolickiego obowiązku miłosierdzia i miłości bliźniego najlepiej uczcimy pamięć wielkiego Jałmużnika ubogich. **S. S.**

Brat Albert patronem kół młodzieży.

Koło Ligi Morskiej i Kolonialnej przy szkole im. kr. Wł. Jagiełły w Chrzanowie zostało nazwane imieniem Brata Alberta.

Dnia 22 stycznia b. r. udała się delegacja uczniów tejże szkoły z p. dvr. Fr. Dendurą i Ks.Wł. Krzeptowskim do p. por. L. Nowakowskiego i złożyła mu życzenia z okazji 74-tej rocznicy powstania. Przy tej sposobności wręczyła mu młodzież portret Brata Alberta, towarzysza jego w walce o niepodległość. Czcigodny weteran w rzewnych słowach podziękował za ten objaw przywiązania i zachęcił do kultu Brata Alberta.

Nasze Archiwum.

Wprowadzając w I nr. „Głosu Brata Alberta" nowy dział: „Nasze archiwum", byliśmy prawie pewni, że apel nasz nie pozostanie bez echa i że na współpracę naszych czytelników, gdy chodzi o zainteresowanie sprawą Brata Alberta zawsze liczyć możemy. Do takiego twierdzenia upoważniają nas przesłane nam zawiadomienia i odpowiedzi na pytania, które poprzednio zamieściliśmy. Te podajemy niżej, a zarazem prosimy o dalsze głosy.

Szkice A. Chmielowskiego. Od p. W. L. z Krakowa otrzymaliśmy następujące informacje: „Na wezwanie redakcji o informacje co do losów obrazu „Pogrzeb samobójcy" udałem się do Muzeum Narodowego w Krakowie i tam oglądałem dwa szkice A. Chmielowskiego. P. kustorz Buczkowski pokazał mi szkic do obrazu „Pogrzeb samobójcy". Przedstawia on cmentarz, a raczej wolny plac przed murem cmentarnym, — w zimowy, ciemny wieczór. Na pierwszym planie stoi wóz zaprzężony w jednego konia. Czterech zakapturzonych grabarzy zdejmuje prawie czerwoną trumnę. Z prawej strony bardzo wąskiego i długiego obrazu stoi samotna postać w pelerynie. Szkic ten prócz podpisu Chmielowskiego posiada podpis Jacka Malczewskiego.

Porównując jednak notatkę p. Zarewicza przedrukowaną w Naszej Myśli doszedłem do wniosku, że nie jest to ten obraz, o którym on wspomina a tylko szkic do niego.

Drugi szkic przedstawia studia ręki, pastucha, konia, dwie scenki salonowe i prawdopodobnie szkic do obrazu „Grób samobójcy", którego odbitkę zdołał zachować Witkiewicz, a którą widziałem po odczycie p. M. Morstin - Górskiej."

Wspomnienia i ślady życia Brata Alberta. P. Michalina Janoszanka, Br. Józef z Przemyśla i p. Srokowski wskazali adresy osób, które znały Brata Alberta, do których zwrócimy się z prośbą o udzielenie nam swych wspomnień do opublikowania.

Artykuły. Do „Naszego Archiwum" przysłali artykuły z prasy polskiej lub wzmianki o takich: ks. Szembek z Krakowa, p. Bezwińska Maria z Kęt, p. Muszyński z Łodzi, p. Karol Heissig z Poznania, p. Bąk z Tarnowa i konsulat gen. R. P. P. w Lizbonie.

Dla pamięci. Przypuszczam, że do „Naszego archiwum" przyda się mała notatka o artykułach, które nie dotyczą bezpośrednio Brata Alberta, ale jego przyjaciół. P. Ewa Łuskina w felietonie „Artyści" w dod. I.K.C. z dnia 31 I 1937 r. przypomniała pewne środowisko krakowskich malarzy, między którymi spotykamy Józefa Nekanda Trepkę, malarza i rzeźbiarza a potem krytyka sztuk plastycznych, Włodzimierza Popiela i Tomasza Lisiewicza. Pierwszy z nich, Józef Nekanda Trepka musiał być szczerym entuzjastą miłosierdzia Brata Alberta, albo nawet jego przyjacielem, skoro tyle o nim i jego zgromadzeniach napisał, że można uważać go za pierwszego, który swymi artykułami starał się zainteresować ogół społeczeństwa i przekonać je o dobrodziejstwie przytulisk Brata Alberta. W „Bibliografii Krakowa za lata 1912-3" znajduje się kilka takich pozycji.

J. N. Trepka: Albertanie — **Dodatek literacko-społ. Głosu Narodu** a dnia 20· X. 1912 r.
„ „ „ Dobre dzieła — Albertanie-ynki — Kraków 1912 Druk „Głosu Narodu", broszura

J. N. Trepka Monografie dobrych czynów. Kraków, **„Czas"** z 30 XI 1912 r.
„ „ „ Brat Albert (z powodu zgonu) **„Czas"** LXIX 1917 30 XII nr. 652
„ „ „ Trzydzieści lat walki z nędzą **Przegląd Powszechny** t. 151.
„ „ „ Brat Albert. **Głosy Katolickie** nr 197 Kraków 1917

Samo zestawienie prac świadczy o tem, że Józef Nekanda Trepka dobrze się zasłużył sprawie albertyńskiej.

Szukamy.

Wielką przysługę oddałby ten sprawie skompletowania literatury o Bracie Albercie, jako jednego z działów przyszłego muzeum, ktoby odnalazł i ofiarował lub odsprzedał następujące książki, które dziś już są wyczerpane:

Stanisław Witkiewicz: Aleksander Gierymski, Lwów 1909
Adam Krechowiecki: Amen — powieść — Warszawa 1911 Nakład Arcta.
Stanisław Szpotański: Bez miejsca na ziemi — powieść — Warszawa.
Czasopismo (rocznik): Lamus z roku 1912. t. IV.
Żeromski Stefan: Nawracanie Judasza — powieść.

Zawsze zaś szukamy, prosimy i nawoływujemy do nadsyłania nam wycinków, wiadomości o kulcie, śladach życia Brata Alberta i jego zgromadzeń.

Redaktor



Widoczek zimowy.
Akwarela Brata Alberta

Warszawa — Grochów

Rok minął od czasu, kiedy przesłaliśmy ostatnią notatkę z Warszawy. Teraz pragniemy choć w krótkim sprawozdaniu opisać, co się u nas podczas tego roku stało i dokonało.



Ks. Biskup W. P. Dr. J. Gawlina w Zakładzie Braci Albertynów w Warszawie.

Może najważniejszą rzeczą dokonaną w tym okresie jest stworzenie i otwarcie pierwszego gimnazjum męskiego im. Brata Alberta w tutejszym zakładzie. Jest to olbrzymi krok naprzód, bo jak zaznaczył ks. De Ville, tutejszy dziekan, który odprawiwszy Mszę św. podczas otwarcia gimnazjum w czasie swego przemówienia powiedział te słowa: „Otwarcie tego gimnazjum jest wielkim a może opatrznościowym krokiem. Dotychczas bowiem zgromadzenie pracowało nad ubogimi i z ubogimi, a z inteligencją stykało się o tyle, o ile wymagała konieczność, by od niej otrzymać jałmużnę dla ubogich.

Dziś ogrom nędzy i wszelkiego zła wzmógł się tak bardzo, że już nie wystarczy jałmużna pojedyńczych osób, ani społeczna praca pojedyńczych zgromadzeń zakonnych, ale dziś trzeba wysiłku całego społeczeństwa, które

musi być dobrej woli, by zwalczyć zło i nędze materjalną. Dotychczas zgromadzenie braci albertynów było znane naszej inteligencji tylko z pism i opowiadań, a dziś przez tą młodzież zgromadzenie może się bliżej zetknąć z ich rodzicami i przez nich szczepić idee Brata Alberta wśród inteligencji, a młodzież samą urabiać i wychować w duchu idei Brata Alberta, aby kiedyś, gdy staną na odpowiednich stanowiskach, byli bliskimi idei miłosierdzia nie tylko duchem ale i czynem. I tu może kryje się wielkie zadanie tej instytucji, przez którą Opatrzność Boża może przygotowuje sobie przyszłych szermierzy do walki ze złem materjalnym".

Inicjatywa założenia gimnazjum albertyńskiego zjednała sobie odrazu uznanie i poparcie tak tutejszego społeczeństwa, jak władz szkolnych, czego dowodem jest, że choć dopiero w drugiej połowie sierpnia ogłoszono wpisy i egzaminy wstępne, to jednak zgłosiło się i uczęszcza do gimnazjum 120 uczniów.

Orkiestra Zakładu Braci Albertynów w Warszawie, pośrodku brat przełożony Anioł.



Sam zakład też się bardzo powiększył w liczbę wychowanków, bo ma ich obecnie stu pięćdziesięciu. Egzaminy w naszej szkole zawodowej z końcem roku na ogół wypadły bardzo dobrze. Wakacje letnie spędziliśmy w Pomiechówku nad rzeką Wkrą, w bardzo pięknej okolicy, mieszkając w lasach państwowych pod namiotami.

Rok szkolny 1936/7 rozpoczęliśmy uroczystym nabożeństwem w kaplicy zakładowej i w tak wielkim zebraniu jak nigdy dotąd (4 klasy). Święto narodowe 11 listopada obchodziliśmy uroczyście i po nabożeństwie uczniowie i wychowankowie urządzili w sali zakładowej uroczystą akademię. Odegrana została własna sztuka „Wskrzeszenie Polski", która się tak wszystkim podobała, że musiano ją jeszcze powtórzyć w sali kina grochowskiego dla szerszej publiczności, która długimi oklaskami wyrażała swe uznanie dla pracy i gry aktorów.

W dniu 4 października i 8 grudnia, jako w święta zgromadzenia i zakładu mieliśmy wielkie uroczystości i całodzienną adorację Najświętszego Sakramentu.

W listopadzie i grudniu mieliśmy bardzo dużo pracy, bo oprócz zwykłej pracy w warsztacie i szkole, wieczorami przygotowywaliśmy jeszcze tradycyjne jasełka. Jednak trud i praca zostały nagrodzone, bo mieliśmy taką frekwencję publiczności, że dawaliśmy po dwa przedstawienia w niedzielę przy przepełnionej sali. Mówiono też, że były dużo ładniejsze, aniżeli w in-

nych zakładach. Po feriach świątecznych rozpoczęliśmy wyścig pracy, aby nasz rok szkolny zakończył się jak najpomylśniej i abyśmy sobie zasłużyli na nowe, miłe i wesołe wakacje.

Na ogół życie nasze choć gromadne i grupowe a jednak płynie nam szybko i przyjemnie przy różnych grach, zabawach i sportach, a zwłaszcza na ślizgawce, którą mamy na własnym podwórzu. Zapraszamy kolegów z innych zakładów do odwiedzenia nas tu Warszawie, by się o tym mogli naocznie przekonać, o czym powyżej pisałem.

STANISŁAWÓW

J. E. ks. biskup dr. Eugeniusz Baziak na wizytacji kanonicznej w zakładzie stanisławowskim.

Dnia 25 kwietnia ub. r. przybył do Stanisławowa na wizytację kanon ks. biskup dr. E. Baziak i wtedy też nasz ksiądz proboszcz oznajmił nam, że będziemy mieli sposobność gościć w murach naszego zakładu tak dostojnego Gościa. Nastąpiło to w dniu 27 kwietnia.



Ks. Mazur przemawia podczas otwarcia kuchni dla dożywiania biednych dzieci przy Zakładzie braci abertynów w Stanisławowie

Od wczesnego ranka, w dniu przyjazdu, zapanował w zakładzie niebywały ruch. Starsi wychowankowie z br. przełoż. Hipolitem budowali wspaniałą bramę z napisem: „Witaj nam Arcypasterzu", i dekorowali chorągiewkami o barwach państwowych i papieskich oraz zielenią. Młodsi zaś z br. Kazimierzem dekorowali salę i ubierali wspaniały tron, który się szczególniej podobał Ks. Biskupowi.

Przed nadejściem godziny 17-tej, kiedy miał przyjechać ks. biskup Baziak, pokończono dekorację zewnętrzną domu, młodsi chłopcy utworzyli szpaler, a starsi zajęci w orkiestrze po raz ostatni przegrali gamy i utwory wchodzące w skład programu. Punktualnie o wyznaczonej godzinie zajechało auto

z Ks. Biskupem który powitany został przez orkiestrę hymnem papieskim i przez Brata przełożonego. Dostojny gość udał się do kaplicy zakładowej na ten czas licznie wypełnionej przez wiernych, a stąd po modlitwie wyszedł zwiedzić zakład. Gdy doszedł do uczelni, która była specjalnie ubrana na przyjęcie, orkiestra odegrała „Ecce Sacerdos", a następnie jeden z wychowanków przywitał tak dostojnego gościa w imieniu wychowanków zakładu. Ks. Biskup przemówił do zebranych w gorących słowach o Bracie Albercie, do którego żywi głęboką cześć i udzielił wszystkim zebranym błogosławieństwa, po czym odjechał na dalszą wizytację. Po odjeździe Ks. Biskupa pozostały nam miłe wspomnienia i jego słowa, które tak dziwnie utkwiły w naszych sercach.

Rulner Edward.

KRAKÓW — ZWIERZYNIEC

Na Zwierzyńcu bez zmian

Nie znaczy to, żeby znowu nie było żadnych. Owszem, były. Przyjechał brat Władysław, odjechał brat Hugolin do Warszawy, a przyjechał brat Józef na przełożonego, powrócił brat Ignacy z kursów warszawskich, to znowu wyjechał brat Józef do Przemyśla.

A potem przyjechał jeszcze brat Karol na przełożonego. Odszedł wreszcie brat Władysław, a przyszedł na jego miejsce brat Apolinary,—więc pozostało prawie wszystko bez zmian.

Wprawdzie szpitalka jest teraz tam, gdzie była stolarnia, a stolarnia w dawnej szpitalce, uczelnia też gdzieindziej, apteczka na dole, ale reszta-to już naprawdę bez zmian.

Co się robiło u nas?

6 grudnia: Obchód św. Mikołaja, który rozdawał podarki, w zakładzie nazwanie krótko: „torbami". Orkiestra nasza grała na podobnym obchodzie w szkole im. dr. H. Jordana.

8 grudnia: W dzień święta Niepok. Poczęcia N. M. P. odbyła się w kaplicy całodzienna adoracja Najśw. Sakramentu.

Święta Bożego Narodzenia. Rozpoczęły się tradycyjną wilią. Wprawdzie nie było tej dawnej, naszej „gwiazdki" z panem prezydentem miasta, radcami, ale za to zjawiły się przed samą wieczerzą aż dwie na mundurze p. por. Jaworskiego, b. wychowanka naszego zakładu. Cóż kiedy nawet one nierozjaśniły tak naszych serc, jakby to mógł sprawić swą obecnością br. starszy Wincenty, gdyby mógł, albo gdyby tylko... chciał. Mimo to wieczór wigilijny był miły i spędziliśmy go wśród bardzo sympatycznego nastroju. Do skromnej „rybki" zasiedli: ks. kapelan Wojtaszak, p. dyr. Hajnos, p. por. Jaworski, pp. mistrzowie Semenowicz, Natanek i Sierpniowski, bracia z br. przełożonym Józefem, grono byłych wychowanków, no i wreszcie co najważniejsze: my... wszyscy z apetytami jak po podróży na biegun i z powrotem. Przemawiali składając życzenia ks. kap. Wojtaszak, p. dyr. Hajnos, br. przeł. Józef.

Kolędy, transmisja radjowa, oświetlona choinka i znowu „torby" wypchane po brzegi łakociami nastroiły nas lepiej, jak p. Czura organy w kaplicy.

Byli i tacy—jak potem pisali w wypracowaniach szkolnych—oczywiście ze szkolnych, że „najedli się podczas wilii, a potem słuchali radia do pasterki, a potem również, bo im się spać nie chciało, a w międzyczasie śniło im się, że ktoś drzewko całkiem rozebrał".

Mszę św. o północy t. zw. pasterkę odprawił u nas ks. kap. Wojtaszak podczas której wszyscy wychowankowie przystąpili do Komunii św. Przybyli na nią także b. wychowankowie z rodzinami.

Pierwszy dzień świąt spędzili wszyscy prawie w domu u rodziców, lub opiekunów, a tylko w drugie musieli się zjawić, by odegrać Jasełka.

W okresie świątecznym często gościliśmy u siebie wojskowych urlopników, którzy wojska nie mogli się nachwalić, i stale opowiadali jak oni sobie dają tam radę, ale jesteśmy przekonani, że więcej im sam dają rady niż oni sobie sami

Przez cały okres zimowy gramy w ping-pong, szachy warcaby, a czasem rozgrywamy nawet spotkania, jak np. ostatnio z reprezentacją zakładu im. Ks. Siemiaszki, który wygraliśmy 4:3. Czekamy jednak niecierpliwie wiosny, bo zima to trochę przykra w zakładzie. Kiedyś kilku dowcipnych zamiast bałwana ulepili ze śniegu duży grób z napisem „Żegnaj zimo". Do przeczytania — na wiosnę!

Kronikarz.

LWÓW – ZAMARSTYNÓW

W Zakładzie dla nieuleczalnych i starców im. BRATA ALBERTA

W połowie grudnia brałem udział w społecznym dla młodej inteligencji kotolickiej, urządzanym przez K. S. M. A· „Odrodzenie" we Lwowie. Gdy po zebraniach wszyscy prawie uczestnicy tygodnia udali się na przedstawienia do teatru lub kina, zaproszeni przez organizatorów, ja tymczasem udawałem się wieczorną porą w wędrówkę po domach albertyńskich. Szkoda że byłem tylko sam, bo takie jedno bezpośrednie zetknięcie się ze smutną rzeczywistością może w niejednym wypadku więcej zdziałać, niż kilka świetnie wygłaszanych odczytów. Praca społeczna ma to do siebie, że powinno się o niej najmniej mówić.

Wrażenia jakie przeżyłem w czasie mej społecznej wędrówki podam gdzieindziej, a tu tylko kilka słów o wspomnianej w tytule, nowej placówce albertyńskiej we Lwowie.

Domów albertyńskich w miastach nie należy szukać gdzieś w centrum, ale daleko na przedmieściach, gdzie żyją i mieszkają najbiedniejsi. Tak też jest i we Lwowie. Nowy dom, który jest czasem ostatnim schronieniem podczas tej ziemskiej wędrówki znajduje się na krańcach miasta przy ul. Zamarstynowskiej 168.

Biały, piętrowy dom, otoczony wysokim płotem z furtą — to właśnie cel mojej wizyty. Z ciekawością przestępuję próg tego zakładu, i proszę furtjana o oznajmienie mego przybycia br. przełożonemu Karolowi. W między-

czasie podziwiam niezwykle prosto ale jak sympatycznie urządzony pokój przyjęć. Korytarz czysty i jasny z rozwieszonymi obrazami z życia Brata Alberta. Przyzwyczajony na podobne schroniska patrzeć oczami autorów sensacyjnych reportaży, zastanawiam się temu jakby klasztornemu spokojowi i tej dziwnej atmosferze, tak różniącej się od opisywanej w dziennikach. Czasem przejdzie obok mnie jakiś starszy człowiek, skromnie ale czysto ubrany, pozdrowi po chrześcijańsku i idzie dalej. Idąc już na górę do kancelarii i zarazem mieszkania brata przełozonego zauważyłem kilku t. zw. prebendariuszy, którzy najspokojniej w świecie pracowali przy zajęciach domowych.

Witam się serdecznie z bratem przełoż. Karolem, organizatorem tego zakładu i po chwili gawędzimy spokojnie o jego placówce, którą objął po kilkunastoletnim pobycie w zakładzie zwierzynieckim. Dowiaduję się, że zakład dla nieuleczalnie chorych i starców istnieje od 1 września ub. r., a obecnie przebywa w nim 61 prebendariuszy, przeważnie kalek, epileptyków, umysłowo chorych i zniedołężniałych starców. Br. Karol zadowolony jest z pracy i mówi o nich, jak o najprzyjemniejszych wychowankach. Z dziecinną prawie radością cieszy się z rozmaitych kawałów i wesołych przygód; które w takim otoczeniu zdarzają się często. Przez okno wskazuje mi płot, który od wewnętrznej strony cały zarysowany jakiemiś fantastycznemi znakami przez maniaka-rysownika. Na ogół jednak zachowują się spokojnie, utrzymują doskonale porządek i jedynie ataki chorobowe przysparzają braciom wiele kłopotów.

Udajemy się następnie na zwiedzanie zakładu. Na pierwszym piętrze znajdują się: kaplica, klauzura, i sala ogólna, infirmeria.

W sali ogólnej. Długa i szeroka przestrzeń zajęta jest przez dwa szeregi jasnych łóżek, porządnie zasłanych. Środek zajmują stoły, przy których siedzą starcy i chorzy przy grach albo zajęci czytaniem pism. Istnieje wśród mieszkańców selekcja i tu na górze znajdują się wybrańcy jako zdrowsi i spokojniejsi. W tej sali jak w innych zainstalowany jest głośnik, dar. ks. M. Rękasa, gen. sekretarza radiowego apostolstwa chorych. Radjo jest wielkim dobrodziejstwem dla nich i mimo, że oszczędność u br. Karola przede wszytkim, to jednak jest ono czynne cały dzień, bo przecież jest to jedyny łącznik ze światem, i jest to bodaj jedyna przyjemność tych weteranów smutnego losu. Siedzą oni przy stołach. Twarze poorane bruzdami zmarszczek, i wzrok mówi tylko o nurtującej ich chorobie. Żal i serdeczne współczucie nie pozwoliły mi nawiązać z nimi rozmowy, bo zresztą o czemże miałbym z nimi mówić i wdzierać się w ich tajemnice prawie na progu ich wieczności. Są zadowoleni z pobytu i opieki. Jedynie młodsi z nich rwą się do świata i życia ale z pragnieniami swymi podobni są do szamotania się ptaka, któremu podcięto skrzydła. Zapóźno i daremnie.

Przechodzimy następnie do sąsiedniej sali, która obecnie jest jeszcze nie zajęta.

— Tu będzie kaplica — objaśnia mnie br. przeł. Karol.— Już prawie wszystko mam gotowe. Ołtarz zrobili w naszym zakładzie stolarskim w Przemyślu. Aparamenty prawie wszystkie w komplecie i pochodzą z darów, tak że wkrótce odbędzie się poświęcenie. Trudno przecież w naszych warunkach obyć się bez Pana Jezusa, który jest „źródłem wszelkiej pociechy“ i „nadzieją

umierających". Sala ta jednak będzie przepołowiona odpowiednią ścianką w drugiej części urządzimy świetlicę".

Na parterze zwiedziłem II salę ogólną, jadalnię i kuchnię. Zapytuję jeszcze o tryb życia w zakładzie i dowiaduję się, że każdy mieszkaniec otrzymuje tu wszystko, od bielizny, ubrania aż do osobnego łóżka we wspólnej sypialni. O godz. 6-tej budzi wszystkich głos sygnaturki. Wszyscy wstają, modlą się razem i udają się na śniadanie. W dużej, czystej kuchni gotuje się posiłki cztery razy dziennie, obiad składa się z zupy i mięsa z jarzyną, albo potrawy postnej.

Świeżo postawiony, wysoki parkan dzieli przytulisko od świata, za furtę zakładu wyjść nie wolno. Klucz zamykający bramę i krótkie mdelitwy odprawiane wspólnie, to jedyne ograniczenia jakim się muszą poddać prebendarjusze schroniska.

Opuszczając zakład przypomniały mi się słowa wyrzeczone kiedyś do braci przez Brata Alberta: „pamiętać powinniśmy, że do nas należą najbiedniejsi i najnieszczęśliwsi, a pierwszeństwo ma się dawać tam, gdzie nędza wielka, ubogich dużo, opieka niezbędna, a warunki nie wygodne, którychby inni przyjąć nie chcieli". Zrozumiałem było wtedy dla mnie, dlaczego powstał ten dom, piękna placówka miłosierdzia chrześcijańskiego. W. F.

Warszawa, dnia 12 lutego 1937 r.

Szanowna Redakcja
„GŁOSU BRATA ALBERTA"

Wyczytawszy w Kurjerze Poznańskim wzmiankę, że Sz. Redakcja poszukuje pism i wzmianek o Przezacnym i Bogobojnym Bracie Albercie pośpieszam zakomunikować, że w mojem posiadaniu znajduje się portret Brata Alberta jeszcze jako Adama Chmielowskiego, namalowany przez Aleks. Gierymskiego.— Na odwrotnej stronie tego portretu (na oprawie) nalepiony jest wycinek z gazety, podający życiorys portretowanego. Jeśliby to Szan. Redakcję interesowało, to proszę się ze mną skomunikować a może się sfotografuje ten portret czy też w inny sposób odbije. W każdym razie służę w tej sprawie wszelkiemi ułatwieniami.

Co się tyczy „Traktatu o Rafaelu" i „O istocie sztuki" to na jedną okoliczność pozwolę sobie zwrócić uwagę.— Zdaje się, że te pisma wydawane były w Małopolsce a tam przed wojną istniał przepis państwowy, że wszelkie druki wychodzące na terenie dawnej Galicji musiały być bezpłatnie oddawane do „Ossolineum" we Lwowie, Bibliotece Uniwersyteckiej w Krakowie i Bibliotece Cesarskiej we Wiedniu.— Może te wskazówki umożliwią wyszukanie potrzebnych artykułów jako też roczników pisma „Na dziś".

O miejscu przechowania obrazu „Pogrzeb samobójcy" może coś będzie wiedział ówczesny redaktor „Placówki" p. Walenty Zieliński mieszkający obecnie w Kutnowskim.

Proszę o łaskawe przyjęcie tych moich kilku informacji kreślę wyrazy prawdziwego poważania.

KAZIMIERZ KRECHOWIECKI

BRATNI ZNAK

Dział B. Wychowanków Albertyńskich

łBezatny dodatek do Nr. 2 „Głos Brata Alberta“ Marzec-Kwiecień 1937

OD REDAKCJI

W związku z przeobrażeniem naszego pisma odbyło się zebranie Komitetu redakcyjnego, który między innymi polecił wprowadzić dodatek »Bratni Znak», jako dział byłych wychowanków albertyńskich. W dvskusji padały głosy, które dobitnie podkreślały ważność akcji organizowania lokalnych kół b. wychowanków, a także urządzania zjazdów, prowadzenie pisemka, w którym możnaby się w ich sprawach odzywać.

Wypełniając polecenie Komitetu oddajemy ten pierwszy numer byłym wychowankom z życzeniem, by stał się on ich rzeczywistą własnością, a nie kulą u nogi dla redakcji. Stanie się wtedy, kiedy tu zbiegać się będą nici wiążące dość liczną przecie rzeszę b. wychowanków w postaci listów, artykułów, nadsyłanych uwag i adresów.

Każdy najdrobniejszy odruch reakcji na nasze wezwanie przyjmiemy z radością i odpowiednio wykorzystamy. Jeżeli mamy też w tym pierwszym numerze rzucić jakie hasło, to rzucamy zawsze dla nas aktualne: «Bądźmy wdzięczni». Pamiętajmy o tem, że

»niewdzięcznik jest jak morze, co biorąc w swe łono
Ze stu rzek wodę słodką, obraca ją w słoną.»
(Ks. Adam St. Krasiński)

A czy do naszej wdzięczności nikt nie ma prawa? Czy nam nikt w życiu dodrze się nie przysłużył, bezinteresownie, mając tylko nasze dobro na celu, a co więcej, czy nie stało się ze szkodą na zdrowiu, ze zmartwieniami, których my bywaliśmy powodem. Wierzcie, że radzibyśmy Wam zrzucić słońcem w oczy, ale w okresie pokutrym przyjmiicie, tą przykrą dygresję. Albo czynem uwodnijcie, że nie była słuszną. Czekamy!

Utrwalmy wspomnienie młodych lat

Tak jak mamy kącik w piśmie poświęconym Bratu Albertowi i sprawom zgromadzenia albertyńskiego, tak nie może braknąć nas byłych wychowanków w żadnej akcji, czy pracy dla nich przeprowadzanych.

Poruszona została publicznie sprawa stworzenia muzeum Brata Alberta. Nie wątpimy w to, że zakończy się pomyślnie, wobec niespożytych zasług Brata Alberta, ale nie możemy pozwolić na to, byśmy do tej pięknej, inicjatywy nie dołożyli choć skromnej cegiełki. Muzeum powstanie w pierwszym domu Brata Alberta w Krakowie przy ul. Krakowskiej. Stąd rozciągnął on swą pracę społeczną na całą Polskę i dom ten jest prototypem dzisiejszych schronisk, przytulisk, zakładów albertyńskich. Ściśle też wiąże się historia pierwszego zakładu wychowawczego albertyńskiego z tym domem, bowiem stąd wyszło tych trzydziestu wychowanków, którzy się stali zaczątkiem naszego zakładu i rozpoczęli serię licznej dziś rzeszy byłych wychowanków. Pobyt i życie w zakładzie nie należały do wygodnych, ale pomimo to, albo raczej dlatego, były dobrą szkołą życia. Dziś chwile pobytu w zakładzie z przyjemnością i własną satysfakcją wspominamy, ale naszym pragnieniem jest też wspomnienia tych chwil utrwalić.

Mianowicie wysuwamy projekt, by w przyszłym muzeum stworzyć jakiś kącik, gdziebyśmy mogli zebrać fotografie ilustrujące życie zakładów albertyńskich, pamiątki drogie każdemu wychowankowi, podobizny naszych dobroczyńców, przełożonych, wychowawców, wychowanków. Będzie to dobrą propagandą naszych zakładów, ale też każdy z nas z przyjemnością od czasu do czasu tam wejdzie, by przypomnieć sobie chwile dawne, wspomnieć tych ludzi, z którymi kiedyś się żyło.

Gdy piszemy o tym, nie mamy na myśli tylko zakładu krakowskiego, ale z największą przyjemnością przyjmiemy najdrobniejszy odruch w celu stworzenia wspólnej izby zakładów albertyńskich. Jest to konieczniejsze, że np. zakładu, lwowskiego już niema, ale żyje jeszcze piękna tradycja tego zakładu, żyją jeszcze i to na różnych stanowiskach wychowankowie tego zakładu, wiec chodzi o to, by tą żywą jeszcze tradycję tego zakładu utrwalić. Co się może stać z innymi zakładami tru-

dno przewidzieć, a tam nasze droge pamiątki będą z pewnością z pietyzmem przechowywane. Tylko rzecz najważniejsza: musimy ten dział stworzyć sami.

Jak piechota, jazda i inne bronie W. P. budują własnym groszem swoje sale w sanktuarjum Polski, na Wawelu, tak my w sanktuarjum albertyńskim stworzymy salkę zakładów wychowawczych Brata Alberta. Na początek dobrej sprawy grono b. wychowanków albertyńskich z Krakowa złożyło pewną kwotę, jako początek osobnego funduszu na wspomniany cel i zdeklarowało złożenie kilku cennych fotografii. Spodziewając się, że przed podobną składką nikt się nie może z b. wychowanków uchylić, wzywamy wszystkich do jaknajwiększej ofiarności.

W sprawie beatyfikacji

Powszechne mniemanie, że Brat Albert był rzeczywiście Świętym, zatacza coraz szersze kręgi. Do zatwierdzenia tej świętości przez Kościół, czyli t. zw. kanonizacji potrzebne są dwie rzeczy: wykazanie cudów i przeprowadzenie samego przewodu kanonizacyjnego. Ponieważ zaś jedno i drugie w znacznej mierze zależne jest od czcicieli tego świątobliwego męża, dlatego uważamy, że dobrze będzie przypomnieć sprawę, o której już kilka razy pisaliśmy. W naszym piśmie prowadzimy stale rubrykę: „Podziękowania“, gdzie umieszczay publiczne oświadczenia o doznanych za przyczyną Brata Alberta łaskach i prosimy dalej wszystkich P. T. Czytelników, Przyjaciół i pomocników naszego pisma i zgromadzeń albertyńskich, oraz wszystkich ludzi dobrej woli, aby pod naszym adresem nadsyłali takie zeznania, o ile możności potwierdzone przez odnośnych kapłanów, lekarzy i t. p. świadków, z jak najdokładniejszem określeniem czasu miesiąca, oraz innych okoliczności danego zdarzenia, abyśmy te rzeczy jako przyszły beatyfikacyjny „materiał dowodowy“ na tem miejscu gromadzić mogli.

Druga prośba nasza, również do wyżej wymienionych osób skierowana, dotyczy czysto materialnej, ale do sprawy beatyfikacji Brata Alberta równie koniecznej, a mianowicie nadsyłania ofiar na „fundusz beatyfikacyjny“. Wiadomo bowiem, że zbieranie środków dowodowych, jako też sam przewód beatyfi-

kacyjny, na który składają się różne komisje, podróże, korespondencje, wydawnictwa i t. p. rzeczy kosztują wiele, a stare doświadczenie uczy, że kanonizacja wielu świętych polskich, dla braku tego funduszu utknęła.

Pełni ufności w powodzenie dobrej sprawy oczekujemy przede wszystkim tego, że potrzebujący pomocy wyższej, zwracać się będą coraz liczniej do świątobliwego Brata Alberta, czy to nawiedzając jego grób na cmentarzu rakowickim, czy też w cichej modlitwie wzywając jego pomocy. Te wzywania pośrednictwa świątobliwego męża niewątpliwie wyjednywać będą coraz liczniejsze łaski, a poczucie wdzięczności odpowie znowu stosowną do możności każdego ofiarą.

Redakcja.

Podziękowanie Bratu Albertowi

Wywiązuję się z przyrzeczenia, iż złożę publiczne podziękowanie w „Głosie Brata Alberta", skoro otrzymam pracę w instytucji państwowej, do której złożyłem podanie. Ufność moja w wstawiennictwo świątobliwego Brata Alberta nie zawiodła. Po wielu trudnościach otrzymałem pracę w krótkim czasie, pomimo, że już mnie przed tym zawiadomiono, że pracy tej nie otrzymam.

Za to i za wiele innych drobnych łask, które otrzymałem za wstawiennictwem świątobliwego Brata Alberta, wzywając Jego pomocy, składam jak najgorętsze podziękowanie, polecając się jego przemożnej opiece i nadal w swych trudnościach życiowych.

Niegodny sługa Marii i nieustanny czciciel świątobliwego Brata Alberta.

Nemo — Nullus

Powyższe fakta jako zgodne z prawdą i osobiście mi znane w całości stwierdzam.

Warszawa, dnia 16 lutego Br. Anioł przeł. Zakł. Warszaw.

Stosując się do dekretów papieża Urbana VIII, oświadczamy że opisu- zdarzenia i łaski nadzwyczajne nie chcemy uprzedzać wyroków Stolicy św. której we wszystkie najzupełniej się poddajemy REDAKCJA

Za pezwoleniem władzy Duchownej i Zakonnej

Na fundusz beatyfikacyjny złożyli:

Michał Słomiany 4.71 zł — Ks. Józef Sasnal 10 zł. — Ks. dr. Zygmunt Pilch 4 zł. — Alumn St. Kudrybonowski 2 zł. — Hr. Zamojska 5 zł.

Na „Salę zakładów" w muzeum Brata Alberta złożyli:

• Radwan Józef 2 zł, Sierpniowski Stanisław 2 zł, Sala Eugeniusz 2 zł, Gwizdek Kazimierz 2 zł, Łukasik Józef 2 zł, Oliński Władysław 2 zł. Razem: 12 zł.

Z wydawnictw.

Prof. Jan Piętka — WIT STWOSZ

Nakład i druk braci Albertynów — Warszawa 1936 str. 110 cena 3 zł.

Autor, wybitny znawca dzieł artystycznych Wita Stwosza kreśląc krótki jego życiorys, omawia i wylicza rozliczne dzieła wielkiego artysty rozsiane po całej Polsce, a przedewszystkiem zaznajamia czytelnika z ołtarzem — tryptykiem w kościele N. M. P. w Krakowie tak pod względem figuralnym, jak i treściowym, oraz z dziełami znajdującymi się w katedrze na Wawelu.

Dziełko to — jak sam autor w przedmowie zaznacza — jest streszczeniem mającego się ukazać obszernego życiorysu i działalności artystycznej Wita Stwosza ku uczczeniu 500 - letniej rocznicy jego urodzin przypadającej w r. 1938. Ze względu na treść historyczną, bogato ilustrowaną (40 rycin) przyczyni się niezawodnie do spopularyzowania arcydzieł tego najznakomitszego polskiego snycerza średniowiecza. Wykonanie wydawnictwa (papier druk i ryciny) bardzo staranne świadczą pochlebnie o wysiłku drukarni albertyńskiej, i zasługują na to, by dziełko to znalazło miejsce tak w każdej bibliotece publicznej jako też prywatnej.

Dochód z rozprzedaży autor przeznacza na cele beatyfikacji Brata Alberta.

Ks. Mateusz Jeż — KU CZCI ŚW. JÓZEFA OBLUBIEŃCA N. M. P.

Nakładem autora — Kraków 1937, drukarnia „Róż św. Teresy" cena 40 gr.

W związku z nadchodzącym świętem św. Józefa aktualnym się staje najnowszy zbiorek wierszy ks.. Jeża, zawierający kilkadziesiąt pozycji. Każdy stan i wiek znaleść tam mogą aktualny i stosowny materiał do wieczornic, akademji i uroczystych zebrań. Szata zewnętrzna nadzwyczaj staranna i piękna sprawia, że z największym pożytkiem może być książeczka ta miłym podarunkiem imieninowym.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Adres zwrotny „Głos Brata Alberta" Kraków, ul. Tad. Kościuszki 86.